Alain van Crugten

Witkacy w moim życiu albo parodiując Woody'ego Allena: Bóg, Witkacy i ja

Podał do druku Janusz Degler

Decydujący wpływ na przebieg mojego życia miało trzech mężczyzn. Kiedy miałem 15 lat, nauczyciel angielskiego na zawsze obudził we mnie zamiłowanie do języków obcych. Później, na uniwersytecie brukselskim, profesor literatury porównawczej pozwolił mi rozpocząć karierę akademicką i literacką. Trzecia ważna osoba już nie żyła, kiedy ją poznałem: chodzi oczywiście o Witkacego.

W roku 1966 przybyłem do Warszawy na stypendium i dowiedziałem się, że moim mentorem będzie dość znany profesor literatury. Pierwsze jego pytanie brzmiało: „Jaki ma pan przedmiot badań?". Nie miałem pojęcia, co chcę robić, więc odpowiedziałem, trochę na chybił trafił:

– Groteska w literaturze polskiej.

– Nowoczesnej czy dawnej?

– Myślałem raczej o badaniu diachronicznym, bo zdaje mi się, że w różnych okresach... – profesor mi przerwał:

– Trzeba wybrać. Dawna, to u mojego kolegi, nowoczesna u mnie – ponieważ stałem przed nim, teraźniejszość wydała się bliższa, odpowiedziałem zatem:

– Nowoczesna.

– Dobrze. Zna pan Witkiewicza?

– Tylko z nazwiska.

– Oto wspaniały przedmiot badań: „Utwory dramatyczne Stanisława Ignacego Witkiewicza". Zgoda? Istnieje nowe wydanie wszystkich sztuk w dwóch tomach. Niech pan to przeczyta. Zobaczymy się potem – koniec rozmowy. Trwała chyba tylko 5 minut.

Z moją skromną znajomością języka polskiego, nabytą w ciągu paru lat – w trybie dwóch godzin tygodniowo (ponieważ uczyłem się głównie rosyjskiego), powoli zagłębiałem się w Witkacego, wchodziłem w dziewiczą dżunglę.

Obłożony słownikami męczyłem się tak przez dwa miesiące. Kiedy przeczytałem całe wydanie *Dramatów* (przygotowane przez Konstantego Puzynę), czyli 22 sztuki, poszedłem po raz drugi do mojego profesora. Gdzieś się spieszył. Rzucił tylko:

– Dobrze. Teraz proszę przeczytać wszystko, co napisano o Witkiewiczu.

Właśnie wtedy dotarło do mnie, że nie będę miał tu żadnej pomocy. Kolejny i ostatni raz zobaczyliśmy się dopiero pod koniec roku akademickiego, kiedy go poprosiłem o „opinię", aby przedłużyć pobyt w Warszawie na kolejny rok.

Sam na sam z Witkacym, zacząłem pracę nad doktoratem. Po roku przekonałem się, że tłumaczenie na mój język ojczysty to najlepszy sposób, aby zgłębić te trudne teksty. I tak, nie myśląc o jakimkolwiek wydaniu, po prostu jako naukowe ćwiczenie, przetłumaczyłem dwie sztuki: *Sonatę Belzebuba* i *Matkę*. Jeden z moich znajomych zasugerował, żebym je zaniósł do polskiej Agencji Autorskiej. Dzięki temu rok później Vladimir Dimitrijević natknął się na moje tłumaczenia Witkacego.

Ten pasjonat literatury, z pochodzenia Serb, wcześniej założył w szwajcarskiej Lozannie wydawnictwo L'Age d'Homme. Od kilku już lat publikował francuskie przekłady z literatury słowiańskiej: rosyjskiej, polskiej, czeskiej i serbskiej. Wydał m.in. książkę *Petersburg* Andrieja Biełego, która od razu okazała się wielkim sukcesem. Dimitrijević słyszał wcześniej o Witkiewiczu od rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego. Po przeczytaniu moich przekładów, powierzył mi redakcję edycji wszystkich dramatów Witkacego, czyli sześciu tomów *Théâtre Complet*.

Tak zaczęła się moja wieloletnia współpraca z Dimitrijeviciem. Obejmowała ona także inne dzieła Witkiewicza oraz przekłady wielu polskich, a także rosyjskich i czeskich autorów.

Przez 12 następnych lat Witkacy na dobre zadomowił się w moim życiu. W latach 1969–1976 L'Age d'Homme wydał jego wszystkie dramaty, a także mój doktorat, zatytułowany *S. I. Witkiewicz – Aux sources d'un théâtre nouveau* (1971), później wielkie powieści *Nienasycenie* (1970), *Pożegnanie jesieni* (1972) i *622 upadki Bunga* (1979). Ponadto zredagowałem u Dimitrijevicia 5 zeszytów „Cahiers Witkiewicz" (1976–1984) zawierających różne teksty Witkacego, m.in. *Juwenilia,* niedokończone sztuki i pisma teoretyczne, oraz eseje poświęcone jego osobie kilkunastu autorów, badaczy i krytyków literackich.

W tym okresie pracowałem na uniwersytecie w Brukseli, ale poświęcałem się bez reszty Witkacemu. Nawet życie rodzinne zostało w jakimś stopniu mu podporządkowane. Wieczorami, a często w czasie wakacji, siedząc przed maszyną do pisania, słowo po słowie mozolnie tłumaczyłem. Moja córka do dzisiaj pamięta, jaki byłem wtedy zapracowany. Pamiętam, jak narzekała, że mam tak mało czasu, aby się z nią bawić. Często zlecenia były tak pilne, że nie dawałem rady pisać. Nagrywałem przekłady i wysyłałem kasety do maszynistki. Wiele razy moja córka śmiała się, kiedy głośno mówiłem do klawiszy maszyny. Powtarzała z ironią: „Kropka, przecinek, otworzyć nawias, nowa linia...".

Witkiewicz był też często tematem moich wykładów uniwersyteckich. Można zatem powiedzieć, że współżyliśmy ze sobą, i to przez długi czas. Zdarzało się, i to nie rzadko, że powtarzałem sobie: „Bez Witkacego byłbym nauczycielem języków obcych w liceum. Dzięki niemu jestem na uniwersytecie. Poza tym tłumaczę, piszę artykuły, biorę udział w konferencjach. Jednym słowem, jestem pasożytem na trupie Witkacego, który już nie może się bronić".

Dzięki niemu poznałem też wiele ciekawych osób. Zaprzyjaźniliśmy się. Byliśmy grupą entuzjastów i propagatorów dzieł Witkiewicza. Nazwa-

liśmy się „witkacologami". W naszej gromadzie oprócz Polaków, takich jak Janusz Degler i nieodżałowana Dunka Micińska, byli również koledzy i koleżanki z innych krajów. Dunka nazwała nas „Międzynarodową Lożą Witkacowską", a ja zaproponowałem hasło: „Witkacolodzy wszystkich krajów, łączcie się!".

Jesienią 1981 r. cała Loża zawitała gościnnie w Brukseli. Przybyli na wielki festiwal Witkacowski. Zorganizowałem dla nich kilkudniową konferencję na uniwersytecie. W ramach festiwalu odbyły się też dwie wystawy, audycje w radiu i telewizji oraz premiery kilku spektakli teatralnych. Moich gości zadziwił fakt, że Witkiewicz jest wszechobecny. Belgijska stolica, obklejona plakatami z twarzą naszego bohatera robiła duże wrażenie.

Jestem pasożytem na trupie Witkacego, który już nie może się bronić

Po tygodniu euforii w Brukseli moich polskich przyjaciół zaskoczyła przykra niespodzianka! Już wkrótce po ich powrocie ogłoszono w Polsce stan wojenny. Często dopadały nas słynne witkacowskie figle, nawet te pośmiertne. Ale ten był naprawdę niesmaczny.

W następnych latach, choć byłem bardzo zajęty różnorodnymi pracami, to i tak znajdowałem czas dla Witkacego. Założyłem teatr studencki, w którym wystawiliśmy, po francusku, sztuki autorów słowiańskich, w tym dwie Witkiewicza. W roku 1984 napisałem scenariusz do tzw. „fikcji dokumentalnej" pod tytułem *Tumor Witkacego*. Film przedstawiał fragmenty z życia mistrza. Osnową scenariusza były domniemane próby sztuki *Tumor Mózgowicz*, odbywające się w latach 20. w zakopiańskim sanatorium, prowadzone przez samego autora w gronie aktorów. Film reżyserował Grzegorz Dubowski, a nakręcono go w murach tego właśnie sanatorium. Być może była to jedna z przyczyn założenia Teatru im. S. I. Witkiewicza w tym miejscu.

Witkacy nadal jest dla mnie źródłem inspiracji. Sztuka pt. *Kabriolet* przedstawia pewien okres z jego życia, mianowicie okoliczności samobójstwa jego narzeczonej. Jest też ukrytym bohaterem powieści *Spa si beau*, w której belgijskie Ardeny przeobrażają się w Wysokie Tatry. W sztuce *Lisez Freud, nom de Dieu! (Czytajcie Freuda, psiakrew!)* znów pojawia się z problemami Edypa, jakże ważnymi w jego twórczości.

Widzicie Państwo, nadal pasożytuję na Witkacym! Nie jestem godzien, Mistrzu, ale bądź pochwalony Witkacy! Dziękuję Ci, Stasiu, miałem ciężką harówkę, ale też wiele radości.

W!